

PIENIĄDZE I GUSTA

UTARŁO się tu i ówdzie mniemanie, że Opolszczyzna nie darzy specjalną sympatią teatru. Mówi się nawet dosyć powszechnie o „ateatralnym charakterze“ jej mieszkańców. Sąd ten — przynajmniej moim zdaniem — jest niesprawiedliwy i krzywdzący, mimo że pozornie pewne fakty zdają się potwierdzać jego słuszność. Pozornie, gdyż przy bliższym przyjrzeniu się im dojdziemy do wniosku, że w wypadku Opola absolutnie nie można mówić o jakiegokolwiek antypatii do teatru w ogóle, a tylko — podobnie zresztą jak wszędzie indziej — o różnych gustach teatralnych, gustach zależnych przede wszystkim od środowiska i jego dziedzictwa kulturalnego.

Faktem jest, że Opole swego czasu „wyświęciło“ ze swych murów śmiały, nowoczesne eksperymentujący teatr Skuszanek. Ten teatr, który jest dziś chlubą polskiej sceny i przedmiotem podziwu zagranicą. Szczegółowi ludzie w Opolu wyrwają sobie teraz włosy z głowy, wołając grzmiącym głosem: „To była zbrodnia! Grzech nie do darowania!“ Notobnie są to czasem ci sami, którzy przed trzema laty ciskali na Skuszanek gromy. Czy jednak rzeczywiście aż „zbrodnia“? Teatr Ludowy w Nowej Hucie przez pierwszy sezon — a nawet dłużej — miał poważne i ostry z widownią. Przewyciekał je i obecnie widownia prawie nigdy nie ma pustych krzeseł. Czy

należy przypuszczać, że pozyskałby on sobie z czasem i Opolszczyznę? Nie jestem tego pewna. Istnieje zasadnicza różnica między tamtą widownią a naszą: w Nowej Hucie Skuszanca miała do czynienia prawie wyłącznie z absolutnie prymitywnym odbiorcą. Kształtowała jego smak i odczucie artystyczne od podstaw. Rezygnując początkowo z porozumienia na płaszczyźnie intelektualnej z uporem przyzwyczajając go do nowoczesnych form reżysersko-inscenizacyjnych. Nie wyrzekała się przy tym „banalnej“ klasyki, ale wyrzekała się wszelkiego konserwatyzmu w sposobie jej podania. Jednym słowem — widz Nowej Huty zetknął się od razu z teatrem nowoczesnym i nie musiał przełamywać w sobie nawyków i gustów teatru mieszczańskiego.

W Opolu sytuacja przedstawiała się wprost przeciwnie. Obory były tym silniejsze, że z prowincjonalizmem (bądźmy szczerzy!) i tradycyjnymi nawykami łączył się jeszcze jeden element: zróżnicowanie etnograficzne ludności i

związane z tym konflikty wewnętrzne, pogłębiane przez fatalną politykę tzw. minionego okresu. Pomijam już fakt, że Opole nie było takim „oczkiem w głowie“ władz centralnych, jak sztandarowa i ekonomicznie ważna Nowa Huta. Wyrażało się to w różnicy dotacji państwowych... Ta różnica ułatwiła Skuszanecę przetrzymanie ciężkich chwil w Nowej Hucie.

Przypuszczam, że Skuszanca — świadomy, dojrzały, naprawdę współczesny artysta — poczyniła sobie w Opolu zbyt „rewolucyjnie“. Tak pod względem repertuarowym, jak i inscenizacyjnym. W tym środowisku pożądana była raczej metoda ewolucji i pewnych kompromisów. Kompromisy nie zawsze są najgorsze, o ile utrzymują się w odpowiednich proporcjach i na odpowiednim poziomie artystycznym.

Taki właśnie okres kompromisu nastąpił po rewolucyjnej Skuszanca. Zbyt szybko awansowany na kierownika artystycznego początkujący reżyser wrocławski Szymon Szumiej wypracował sobie plan długofalowy: postanowił wystartować „teatrem emocjo-

nalnym“ o repertuarze częściowo współczesnym, ale z wyraźną przewagą klasyki polskiej i obcej. Miała to być owa najwartościowsza klasyka. W rezultacie obok „Maturzystów“ Skowrońskiego i niefortunnie wy-

(Dokończenie na str. 11)

fanej komedii Krapiwy pojawił się: „Pan Jowiński“, „Balladyna“, „Romeo i Julia“, „Komele“ Nalęcz - Korzeniowskiego, „W małym domku“ Rittnera, a w okresie prób weszła „Noc omyłek“ Goldsmitha, XVIII-wiecznego klasyka angielskiego, mająca być polską prapremierą. Z wyjątkiem „Małego domku“ przedstawienia realizowali młodzi, początkujący reżyserzy, których zapamiętanie szły pod rękę z nieporadnością i nie zawsze skoordynowaną improwizacją artystyczną. Byli jeszcze pogrążeni po uszy w stanisławskim („obowiązująca“ metoda w szkolnictwie teatralnym z lat 1948—1954), a już zachwyceni francuskim Villamem! Z tak niedobranego związku musiały się narodzić dzieła o bardzo nierównym charakterze. Dodajmy do tego, że przyszła wówczas do Opola cała grupa świeżo upieczonych (rok po dyplomie) aktorów, ale zdolnych, rwących się do pracy. Odmłodzili oni jakoś i resztę zespołu.

Rezultat? Przedstawienia nieporadne reżyserko i aktorsko, robione często „na żywioł“, ale młode, gorące i chwytające widza za serce. Każdego widza.

Ala tzw. żywioł w teatrze może być jedynie punktem wyjścia — pod warunkiem, że ustąpi potem miejsca świadomej myśli artystycznej i doskonalącym się metodom pracy. A tej gwarancji nie dawała, niestety, artystyczna osobowość Szurmieja. Zapal nie wystarczał. Młodzi aktorzy chcieli się uczyć i potrzebowali dobrych reżyserów. Nawet reżyserów-pedagogów. Nie mieli ich. Rzekome wysokie kwalifikacje zawodowe kierownika artystycznego okazały się bluffem (ostatecznie ujawnił to sławny „Potop“...), a sposoby podtrzymania tego mitu o sobie zraziły do niego cały młody zespół. Atmosfera w teatrze stała się wprost nieczłowieka i wywołała wreszcie rewoltę: młodzież zrzuciła swego „wodza“ z tronu.

W sezonie 1956/57 objął teatr opolski nowy dyrektor, Marian Podlewski. Reprezentował on stronę inną, z kolei trzecią indywidualność artystyczną: stare, dobre, rzemiosło aktorskie i wieloletnie doświadczenie reżyserko-kierownicze. Taka indywidualność doskonale może owocować przy współpracy z młodymi, pełnymi świeżej inwencji partnerami. Rutyna i doświadczenie kierownika plus młoda krew reżyserka i odkrywczy oko kierownika literackiego mogłyby dać w rezultacie dobry, ciekawy teatr. Tej symbiozy w ubiegłym

sezonie zabrakło. Nowego kierownika literackiego nie zaangażowano (i to mam dyrekcyj za

nym tyranie i nieszczęśliwej królowej (najlepszej zresztą w spektaklu). Opowieść w dodatku nie

Pieniądze i GUSTA

zle, a nie rezygnację z mojej współpracy), stworzono natomiast nie wiadomo komu potrzebny etat „koordynatora pracy artystycznej“. Na domiar złego odeszła z teatru cała grupa owej najzdolniejszej młodzieży dzięki czemu zwiększył się w zaskakujący sposób procent tzw. aktorów niekwalifikowanych (bez studiów i egzaminu).

W rezultacie po szokującej rewolucji artystycznej Skuszanki i po trochę amatorskim „żywiole“ Szurmieja, teatr opolski ukazał nam trzecie oblicze. Krótko mówiąc — „traściło ono myszką“.

Sezon 1956/57 otwarto „Grubymi rybami“ Baluckiego, potem pokazano „Ostry dyżur“ Lutowskiego (wprawdzie już po Paździelniku, ale na prowincji był jeszcze, niestety, aktualny), „Cyrylika Sewilskiego“, „Pygmaliona“, „Don Karlosa“, „Seans“ Cowarda, „Wesele na Górnym Śląku“ i „Kobieta twojej młodości“ Devala. Mówiąc, że sezon ten „tracił myszką“, nie mam na myśli klasycznych pozycji. Poza pomyłką repertuarową, jaką była moim zdaniem „Kobieta twojej młodości“ (brrr! cóż to za tandetna, pretendująca do miana „psychologicznej“ sztuki!), każda z tych pozycji wzięta pojedynczo ma rację bytu w dzisiejszym teatrze. Niepokojące jest jednak skumulowanie ich w jednym sezonie, a przede wszystkim tradycyjny, pozbawiony jakiejś współczesnej koncepcji sposób wystawienia. Żaden z tych spektakli nie zaskoczyłby nikogo w roku pańskim 1910. A przecież coś się od tego czasu zmieniło, u licha! Tak „Don Karlos“ mógł być piekielnie współczesną tragedią! A tymczasem... Tymczasem obojętnym opowieść o despotycznym, zazdrośnym i okrut-

całkiem zrozumiałą (dykcja aktorów) i zubożoną problemowo (niefortunne skreślenia tekstu). „Pygmaliona“ potraktowano wyłącznie rozrywkowo, „Cyrylika Sewilskiego“ podano nam w brudnym kolorystycznie i nudnym reżyserko sosie, a „Grube ryby“ stanowiły aktorski konglomerat amatorszczyzny z oszalamiającą cyrkową groteską.

Obecny sezon teatralny w Opolu rozpoczął się miłą obietnicą „Fantazego“ w gościnnej reżyserii i z gościnnym aktorem w roli głównej. Niestety, w ostatniej chwili teatr zmuszony był zmienić tę pozycję repertuaru. Wprawdzie tylko częściowo, bo ostatnie sylaby tytułu zostały niezmienione, ale zawsze „Pan Damazy“ to nie to, co „Fantazy“...

Wreszcie opolskie środowisko literacko - dziennikarskie postanowiło zabrać głos w sprawie bądź co bądź trochę je obchodzącej: w sprawie uwspółcześnienia opolskiego teatru. I tutaj teatr popełnił moim zdaniem duży taktyczny błąd. Ostentacyjnie i oficjalnie wykpił wszelkie głosy krytyczne, sprawdzając je do rzędu ignoranckich, snobistycznych i nieodpowiedzialnych wyskoków. W okresie powszechnego swobody wypowiedzi i prawa krytykowania nawet nietykalnych dawniej instytucji, zrobiło to jak najgorsze wrażenie. Wolno teatrowi nie korzystać z obecnej wolności repertuarowej, ale nie wolno pozbawiać widza prawa wyrażania swego zdania na ten temat. Tym bardziej, że wypowiedzi ankietowe różniły się wyrażnie swą formą od oficjalnej odpowiedzi dyrekcji teatru (na niekorzyść tej ostatniej). Krytyczne głosy nie pochodzą zresztą wyłącznie z łona owej „grupki snobów“, ale pokrywają

się z opinią wielu zwykłych, „normalnych“ widzów.

Tak oto w rezultacie teatr odciął się od swego macierzystego miasta. Czy naprawdę nie zależy mu na jego opinii, czy jest to tylko chwilowe zaciętrzewienie polemiczne? To pierwsze byłoby zjawiskiem smutnym, a nawet tragicznym. Drugie — pozostawia szansę uratowania sprawy, o ile przypomniano by sobie stare, dobre zasady taktownej dyplomacji i rzeczowej dyskusji.

W tym przykrym konflikcie rozjątrzeni Opolanie nie dostrzegają nawet, że są pewne znaki na niebie i ziemi, zwiastujące możliwości poprawy naszej sceny. Wprawdzie „Niespokojna starość“ była łatwym odfajkowaniem miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej, a chałturowy „Mazepa“ jest klasycznym dowodem (drogą negacji), jak niezbędni są w teatrze wykwalifikowani aktorzy i wykwalifikowany reżyser, ale... sezon właściwie dopiero się zaczął. Jest już nareszcie w teatrze kierownik czy sam „Don Juan“ okaże się literacki, jest w ramach gościny młody reżyser z warszawskiej szkoły, zdobywający właśnie dyplom. Zdobywa go nie byle jaką sztuką, bo „Don Juanem“ Moliere'a. Patronat nad tymi warsztatem reżyserskim sprawuje jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów, Bohdan Korzeniewski. Uważam to za olbrzymi sukces teatru bez względu nawet na to, czy sam „Don Juan“ okaże się pełnym sukcesem artystycznym. Wyborowi drugiej pozycji — „Achilles i panny“ Swinarskiego — również należy przyklasnąć. Podobno dyrekcja teatru chowa w zanadrzu jeszcze jakąś ciekawą niespodziankę repertuarową. Zbytnią tajemniczość jest tu jednak może trochę nie na miejscu. Opole czuje się jak nieletnie dziecko, któremu szorstki tatuś zapowiada: „jak będziesz grzeczny, to może ci coś ładnego dam...“ Gdyby mieć absolutną pewność, że będzie to coś naprawdę ładnego, można by darować ową nieprzyjemną tajemniczość, ale dotychczasowe doświadczenia...

Stop. Nie bądźmy pesymistami. Trudno się wprawdzie zdobyć na hurra- optymizm ale stan obecny pozwala nam jednak trochę jeszcze poczekać: może coś z tego będzie.

Gdyby tylko dyrekcja teatru przestała powiększać grono amatorskich sił zespołu, a równocześnie częściej zapraszała do współpracy dobrych reżyserów... Takie oto dwa skromne życzenia pozwalam sobie złożyć mieszkańcom Opola i teatrowi.

Krystyna Konopacka-Csala